

Kilka godzin z wizytą w Strzyżewicach

— Madame Choiset! Madame Choiset! — woła idąca z nami tłumaczka za sylwetką wysokiej, dobrze zbudowanej kobiety, której głowę zdobią krótko przyszyte, czarne włosy.

Pani Marcelle Choiset-Gohard na dźwięk swego nazwiska odwraca się i idzie ku nam. Mocny, męski uścisk dłoni i za-

czynamy rozmowę, która początkowo jakoś się nie klei, lecz już po dziesięciu minutach pytania i odpowiedzi następują tak szybko, że tłumaczka nie może nadążyć.

Wspaniały „bilet wizytowy”

Francuzka — to atrakcja „numer 1” międzynarodowych

zawodów. Zresztą postać pani Marcelle budziaby zaciekawienie na wszystkich wielkich zawodach szybowcowych — w każdym kraju. Nawet, gdyby to były mistrzostwa świata. Jest bowiem jedyną na świecie kobietą posiadającą złotą odznakę szybowcową z trzema diamentami, a poza tym autorką czterestu kobiecych rekordów świata, z których jeszcze sześć figuruje w tabeli! Taki „bilet wizytowy” mówi za siebie.

W rozmowie dowiadujemy się interesujących szczegółów. Pani Choiset lata od 1938 roku (Wandzia Szemplińska, posiadająca „dopiero” dwa diamenty — była wówczas małą dziewczynką). Zdradzimy niedyskretnie, że zawodniczka francuska ma lat czterdzieści. W swoim życiu „wylatała” już na szybowcach 1600 godz. Rekord pobiła w 1947 roku, w którym spędziła 360 godzin w powietrzu, a więc równo... 15 dni i noc!

Osobliwa droga

Z szybownictwem zapoznała się dość oryginalną drogą, bo przez... lotnictwo silnikowe, a więc odwrotnie, niż to na ogół bywa. Dziś — już dziewięć lat — jest instruktorem szybownictwa.

Z namiotu wychodzi mąż sympatycznej lotniczki — P. Gohard i przyłącza się do naszej rozmowy. Ona jest szybowniczką, on — jej mechanikiem. Zresztą w ekipie francuskiej jest jeszcze drugie takie małżeństwo — państwo Lambert. Tylko tam jest na odwrót: mąż lata, a żona jest mechanikiem.

— Jak oceniacie możliwości polskich pilotów i co sądzą o innych ekipach?

— Widzimy już, że kraje demokracji ludowej zrobiły duży krok naprzód, a Polska poczyniła postępy, w które wprost trudno uwierzyć. Uważam, że Polacy i zawodnicy radzieccy odegrają tutaj najważniejszą rolę.

Wiązanka pochwał

Konieczność chciałbym się dowiedzieć, jak się Francuzom w Lesznie podoba. Nie wytrzymuję i pytam.

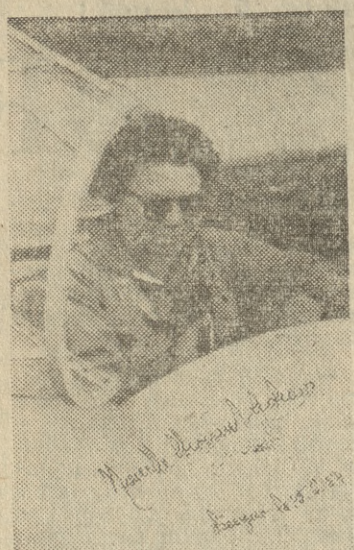
— Nous — nous sentons ici très bien! — rozpykują się w pochwałach. A kiedy wyrażaliśmy przypuszczenie, że pewnie tak mówią przez grzeczność, niewiele brakło, by się na nas śmiertelnie obrazili.

— Startowałam już w wielkich, tradycyjnych zawodach w Samedanie w Szwajcarii — mówi Choiset — ale nie ma porównania do tego, co jest tutaj. Tam też w 1947 roku poznaliśmy waszego pilota Ziętkę. Szkoda, że go tu nie ma.

W końcu p. Choiset wręcza kartkę z pozdrowieniami dla czytelników.

5 minut — 60 pensów

Szybownik angielski Daniel Smith wsiadł do kabiny. CSS wyciągnął aparat na holu w powietrze na wysokość kilkuset metrów. Teraz trzeba wypróbować otrzymaną od gospodarzy „Jaskółkę”. Szybowiec jęł zataczać łagodne wiraże, kreślić na niebie koła.



Marcelle Choiset-Gohard — jedyna w świecie kobieta, posiadająca złotą odznakę szybowcową z trzema diamentami — uśmiecha się do nas z kabiny swego szybowca AIR-102.

O faktach związanych z tym co powiedział mr Smith po wylądowaniu, dowiedziałem się od znajomych dziennikarzy.

— Gdybym nie przyjechał do Polski na obecne zawody i nie poznał „Jaskółki”, popełniłbym największy błąd w swoim szybowcowym życiu.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że Anglicy są niezwykle powściągliwi w pochwałach, zwłaszcza pod adresem wszystkiego, co nie nosi etykiety „made in England”.

— Nie pali pan? — spytał ktoś Smith’a, gdy ten podziękował za papierosa. — Nie spotkałem jeszcze nie palącego Anglika!

— Nie! — odpowiedział. — Oszczędzam na latanie.

Wydaje się to dziwne, ale w Anglii szybownik za każdy start musi płacić klubowi 3 szylingi, a za każde 5 minut lotu — 60 pensów. Okazuje się, że w Anglii szybownictwo to drogi sport...

Przodujemy w nowoczesnej konstrukcji

W wędrownie po lotnisku spotykamy inżyniera Józefa Niespała, jednego z najwybitniejszych polskich konstruktorów szybowcowych. Skonstruował on szybowiec „Sep-15-1”, na którym latał pilot Ziętek w Szwajcarii. W czasie zawodów w Samedanie dojrzał pomysł nowego typu szybowca akrobacyjnego, który później otrzymał nazwę „Jastrząb-15-4”. Inżynier Niespał, to także współtwórca wielu innych typów szybowców, a również i Jaskółki.

Jego zdaniem najnowocześniejszy styl konstrukcyjny reprezentują na zawodach ZSRR, Polska i Węgry.

Rekordziści młodości i przodownik humoru

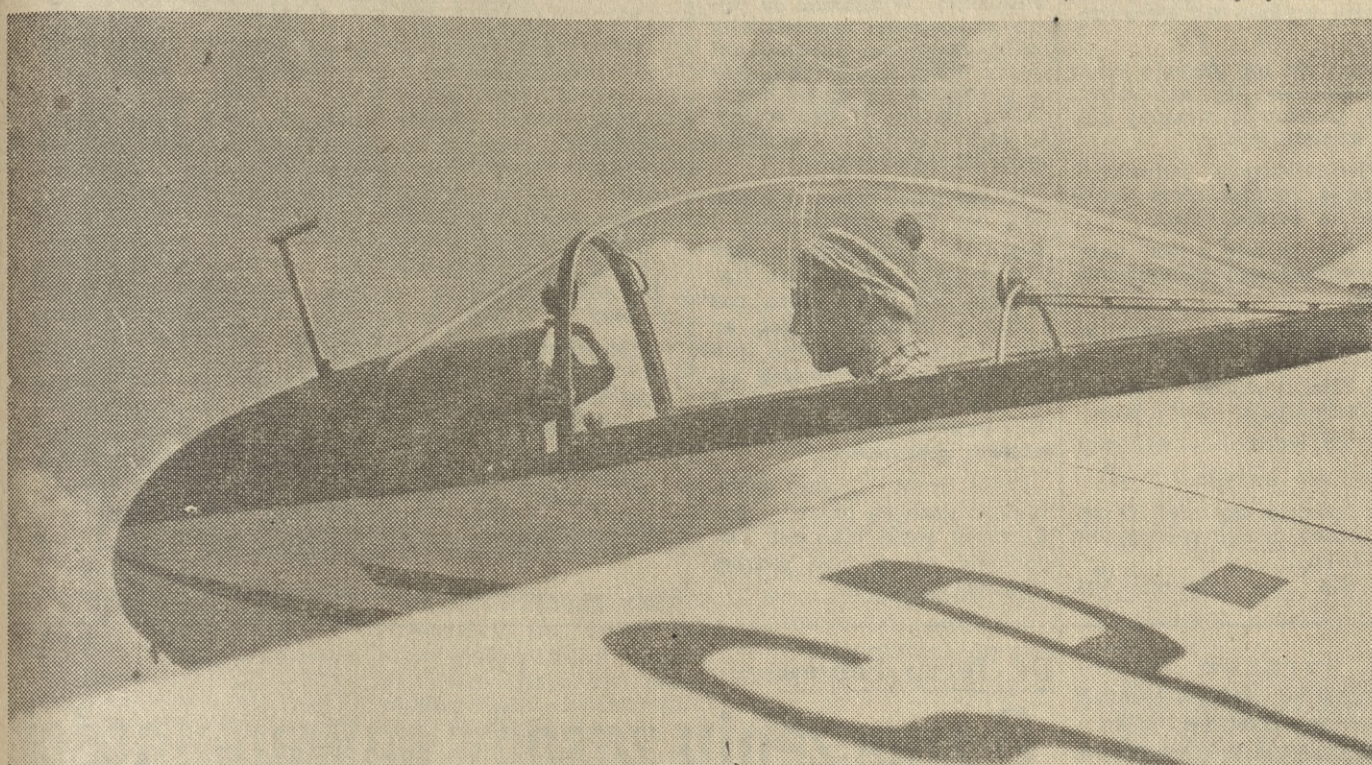
Drużyna polska bije na głowę wszystkie pozostałe... młodości. Przeciętny wiek zawodników naszego zespołu wynosi 22 lata. Drugie miejsce pod tym względem zajmują Czechosłowacy — 29,7 lat, trzecie Rumuni — 30,7 lat, czwarte NRD. Najstarsi są Francuzi, gdzie przeciętna wieku wynosi u nich 43 lata oraz Anglicy — 42 lata.

Polskie szybownictwo jest młode i to jest jego najpotężniejszy atut.

Najstarszym pilotem zespołu radzieckiego jest zasłużony mistrz sportu ZSRR 42-letni Wiktor Ilczenko — chodząca encyklopedia szybownictwa. Ilczenko w swoim życiu latał już na... 83 typach szybowców! Poza tym jest posiadaczem rekordu świata w przelocie otwartym na szybowcu dwumiejscowym. Rekord ten, ustanowiony w zeszłym roku, wynosi 829,888 km.

Ale — trzeba tu dodać — radziecki as szybownictwa posiada jeszcze jedno „naj” wśród współzawodniczących z sobą w Strzyżewicach pilotów: jest najweselszym żeglarzem napowietrznym. Wokół niego zbierają się stale grupki kolegów, których rozbawia dowcipami i żartami. W przerwie między żartami, gdy go zapyta o sprawę fachową, poważnie — chętnie dzieli się swymi niesłychanie bogatymi doświadczeniami.

MARIAN FLEJSIEROWICZ



Jerzy Popiel — szybowcowy mistrz Polski jest jednym z trójki broniącej na skrzydłach „Jaskółki” w MZS barw kraju.

WIEDZA ŻE ŻYJA

Zygmunt Jaski

Osobisty przyjaciel Hitlera, Herr Altemann, były ambasador Rzeszy Niemieckiej w Portugalii, pułkownik w stanie spoczynku, a w życiu prywatnym — podobnie jak sam „Fuehrer” — malarz, stał z rewersem w ręku i kierując lufę w stronę babiny, wołał coś gniewnie swoim obcym i niezrozumiałym dla staruch, gardłowym językiem.

— Ja tylko przekopuję, za ziemniakami — usiłowała wyjaśnić przerażona, chociaż dobrze wiedziała, że „Oberst”, jak go w okolicy nazywano, nie rozumie po polsku.

Nim dokończyła, twarda ręka chwyciła ją za kark i po chwili mieszkańcy wsi ujrzeni następujące widowisko: środkiem drogi w stronę pałacu pruski pułkownik prowadził pod rewolwerem do ukarania starą babinę, o której wiadomo było, że z nędzy chodzi na dworskie pole, tam gdzie wykopywa już ziemniaki, aby szuknąć motyka sztuk przeczonych przez maszynę. Wielogodzinne kłopoty dawało jej nieraz z dociepywania kilkanaście ziemniaków, które pozostawione w ziemi, uległyby gnicciu w ciągu paru tygodni...

Nowacki siedzi w fotelu klubowym przy biurku. Przy tym samym biurku i na tym samym fotelu siadywał Altemann, czteroletni pan życia i śmierci okolicy, któremu „wódz tyścioletniej rzeszy” w dowód przyjaźni ofiarował w roku 1939 majątek Rudniki pod Opatowem.

— A to jest jego obraz — mówi Nowacki, wskazując wiszącą nad łóżkiem akwarelę — tego Altemanna.

Podchodzi do łóżka i patrzy na malowidło. Żenująco kiczowaty „krajobraz” z podpisem waty grafomańskiego wielkim i wyszukany. A więc malarzem był również kiepskim, jak jego mistrz i przyjaciel!

— Uciek furmanką — dodaje Nowacki pogodnie (dziś po 10 latach potrafi już mówić o nim bez zaciskania szczęk) — Ale przed wyjazdem jeszcze jeden gwałt zrobił. Zmusił polskiego fernala, aby go wywiózł na zachód, nocą, w pospiechu...

Łatwo domyśleć się, jakie były dalsze losy Rudnik. Wyzwolenie, reforma rolna, parcelacja i wreszcie — własna ziemia. Jak to się stało, że w końcu doszło do spółdzielni? Proszę o szczerą odpowiedź: „Czy może nie mogliście dać sobie rady na swoim?”

— Nie dziwię się temu pytaniu — brzmi odpowiedź — bo wiem, że i tak czasami bywa. Ale z kulawych gospodarzy ku-

lawa spółdzielnia. A nasza jest mocna jak dąb! U nas było inaczej. Gospodarzyło nam się na swoim całkiem nieźle. Niektórym, jak na przykład mnie, bardzo dobrze. To nie dlatego.

Nowacki podprowadza mnie do okna.

— Spójrzcie na tę łąkę — mówi — kosa traktorem, widzicie? Ręcznie by nie dał rady najlepszy kosiarka. I konie nie dadzą rady. Trawa mocna, gęsta, twarda i wysoka. Indywidualni przychodzą ją oglądać, bo wiedzą, że taka łąka to trzy razy więcej paszy i trzy razy lepsza pasza. Każdy chłop chce mieć takie siano. A może mieć tylko spółdzielca!

— Rozumiem, co macie na myśli. Wkład środków materialnych i zmechanizowanej pracy.

— Tak. Tu była taka sama chuda, zachwaszczona i zakwaszona łączka, jak w całej wsi. Posłuchajcie, cośmy robili, żeby ją polepszyć. Zeszłej jesieni przeorałmy całą łąkę traktorem. Najpierw nożem ciał darń, a potem plug głęboko orał. Na wiosnę sypnęliśmy wapna i — druga orka plugami talerzowymi. Iżaz wzdłuż, raz w poprzek, aż porobiły się takie kostki. Wyglądaliśmy je wielką, a potem zdusiłmy ciężkim motorowym wałem. Teraz przyszły lekkie bronki siewne i spulchniły powierzchnię. Na to daliśmy sztuczny nawóz zasilający i poszedł gęsty siew. Po siewie jeszcze raz lekkie bronowanie, w końcu walaowanie. I już rośnie...

— Taka trawa! — podpowiadam.

— Nie — przeczy z uśmiechem Nowacki — taki chwast! Bo on wylazi ze starych korzeni na wierzch przedziej od trawy i wyżej. Kiedy wyszły chwasty, zcieliśmy je kosiarką konną tuż przy ziemi. Dopiero wtedy wyskoczyła wysoko piękna trawa i zagłuszyła zieleń do reszty.

Nowacki patrzy chwilę na łąkę, po czym odwraca się do mnie i mówi:

— Który gospodarz indywidualny mógłby to wszystko zrobić? Tego nawet dziesięć nigdy nie robiło, bo im szkoda było kapitału pakować w ziemię. Ciagle potrzebował go na wyjazd za granicę i zabawy.

— No tak, ale o tym wszystkim mogliście się przekonać przykładowo dopiero po założeniu spółdzielni.

— Niekoniecznie. Widzieliśmy to i owo w sąsiedzkich spółdzielniach, które powstały wcześniej. Ja zresztą byłem pod

czas wojny dwa lata w Związku Radzieckim i też widziałem niemało. Zaczeli do mnie sąsiedzi przychodzić. „Widziałeś wiecie, to powiedz”. Opowiadałem. Mówili, że w pojedynkę człowiek nigdy wiele zrobić nie może. Kupą trzeba, jak to się mówi... kolektywnie. Dochód każdego większy będzie, utrudzi się mniej. Rada w radę, postanowiliśmy spróbować, a teraz...

Usiadł w fotelu i dodał z satysfakcją:

— Nie żałują. Teraz dopiero wiedzą, że żyją. Mają dziś dwa razy tyle co przedtem. Może się dziwić, że tak mówię? To jest prawda! W spółdzielni można zarobić. Weźcie mojego chłopaka. Przepada za końmi. Tylko by furmani! I ja taki byłem, gdy miałem 13 lat. W zeszłym roku jeździł u nas w żniwa konnymi grabiami, 600 złotych sobie zarobił. Matka kupiła mu za to piękny garnitur.

Nowacki odsuwa walizkową maszynę do pisania i rozkłada swoje akta. Przedstawia mi kilka charakterystycznych danych. Rok 1950 — ośmiu członków, drugi typ, bez inwentarza. Rok 1954 — 56 członków, trzeci typ, 64 sztuki bydła, 80 świń, 43 owce, 40 koni, ziemi ogółem 623 hektary. Rośliny przemysłowe: 39 ha buraków cukrowych, 12 ha rzepaku, 10 ha grochu. Jednohektarowa plantacja chmielu, pięciohektarowy sad.

Kiedy zapytałem o dniówki obrachunkowe, Nowacki pokręcił głową.

— To nasza największa bolączka — rzekł. — W zeszłym roku nie wyniosły tyle, ile by mogły. 12 złotych i 6 kilogramów żyta, to nie jest mało, ale mogło być dwa razy tyle, gdyby nie upór starych.

— Upór starych? — pytam z zaciekawieniem.

Sprawa wygląda tak. W spółdzielni produkcyjnej Rudniki liczone do tej pory za jedną dniówkę każdy przepracowany dzień, bez względu na to, czy członek spółdzielni wykonał w nim pracy więcej czy mniej. Młodym i ochoczym do roboty spółdzielcom wydawało się to niesprawiedliwe. Jak to? — skarżyli się — więc ten kto skosi w dzień pół morgi łąki, ma mieć tę samą dniówkę, jak i ten co skosił w tym samym czasie dwie morgi? Rzecz poszła do rozpatrzenia na naradzie. Ale utonęła w dyskusji. Wielu spółdzielców wysunęło zastrzeżenia, że niesposób wy-

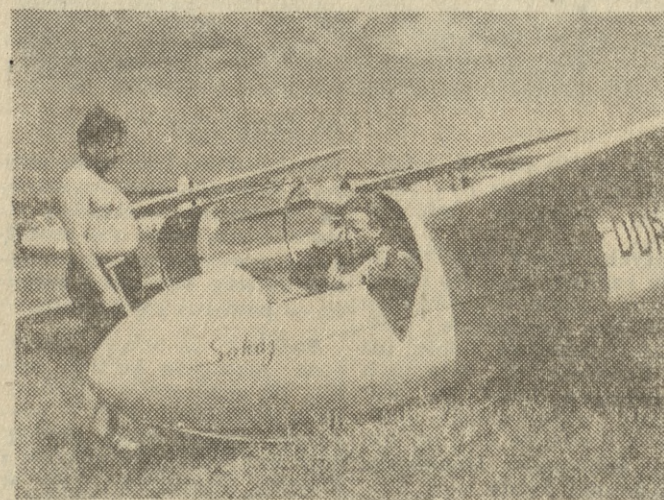
liczyć ile jakiej pracy można wykonać w ciągu dnia, bo praca w rolnictwie są bardzo różne. Że to trzeba by badać latami, że do tego trzeba by „nie takich głów”. Młodzi nie zostali przekonani. Podejrzewali starych oponentów po prostu o oportunizm. Ale niektórzy do pracy nie byli już tacy skorzy jak dawniej. Zaczeli oglądać się na powolnych. Ten i ów według nich regulował tempo własnej roboty. Myśl, że tak łatwo mogłoby być inaczej, nie dawała im jednak spokoju. Przecież gdyby określono, ile czego wykonuje się przeciętnie w ciągu dnia — starzy nie by na tym nie stracili, a oni, młodzi i silniejsi, zyskaliby.

— Ciekawe, kiedy ten spór się skończy? — mówię więcej do siebie, niż do Nowackiego.

Nowacki ma odpowiedź gotową.

— Jutro! Przyjeżdża do nas agronom POM z książką norm wzorcowych, które ułożyli doświadczeni praktycy i uczeni znawcy. Jak się nasi spółdzielcy dowiedzą, że te rzeczy są już opracowane przez ludzi odpowiedzialnych i wydrukowane, sprawa pójdzie.

A ten fernal — mówi jeszcze Nowacki — odprowadzając mnie do furty, — co odwoził „Obersta” do Niemiec, to później urocił i jest we wsi do dziś. Opowiadał, że stary kazał się wieść do majątku syna pod Berlin. Ale synalka już nie było, uciekł daleko na zachód. Kiedy po nocach zaczęły tony świecić na wschodniej stronie nieba, Altemann kazał fernalowi wykopać grób. Później zszedł doń i palnął sobie w łeb.



— Wszystko w porządku — mówi po zmontowaniu szybowca do swego mechanika pilot NRD Wilhelm Liemann. Ekipa NRD startuje na czechosłowackich „So-hajach”.

DROGOWSKAZ

Przyszedł do redakcji, wysoki, barczysty, zdający się wypełniać swą postać przestrzeń małego pokoju redakcyjnego. Ciężka dłoń wyciągnął do powitania i usiadł przy biurku.

— Chcecie, obywatelu, rozmawiać ze mną o książce „Jak hartowała się stal”? — zagał rozmowę pierwszy. Dobrze, mam tylko do was jedną prośbę. Nie nazywajcie mnie w swoim artykule po nazwisku. Jak się dalej przekonacie, mam ku temu powody. Imię moje wam wystarczy. Przecież takich jak ja jest tysiące.

Na pocztunek papierosem odpowiedział odmownie, nie pali. Zaczął opowiadanie glosem mocnym i śmiałym.

— Jestem synem ubogiej, prostej kobiety, która nawet czytać nie umiała. Ojca swego nie pamiętam. Wiem tylko z opowiadań matki to, że bardzo pił. Był cieśnią i włóczył się po wsiach za pracą, stawiając kulałom stoły i chlewy. Zapił się gdzieś w lu belszczyźnie denaturatem, gdy już nie miał pieniędzy na wódkę. Pochowali go na jakimś cmentarzyku wioskowym pod płotem. Matka też nie miała czasu mnie wychowywać. Gdy wojna się skończyła, w 1945 r. miałem 17 lat. Matka brała do prania bieliznę różnych bogatych kombinatorów, którzy harowali na linii szabru z Dolnego Śląska. Zaczęłam wtedy robić w warsztacie samochodowym. Też u takiego, co to samochody ścigał z zachodu. Do kombinatorki nie miałem talentu, a raczej może wstręt powstrzymywał mnie przed tym. Chciałem uczciwie pracować, chciałem się czegoś nauczyć. Ale wiecie jak to było w tych pierwszych miesiącach. Władza ludowa, tym, u których pracowałem nie przy padła do gustu. Czekali na Amerykanów i Andersa. Mówili, że oni zaprowadzą porządek. Mnie nazywali dziadowskim synem, który zginałby z głodu, gdyby nie oni. Ameryka mi oczy kleiła, a gdy raz chciałem rzucić robotę i iść do fabryki, to ustawili mi radio i kazali posłuchać co to Londyn mówi o polskich fabrykach, które „zrabowano” prywatnym właścicielom.

Widziałem, jak to było trudno z tymi fabrykami. Pierwszy rozruch był ciężki, byliśmy przecież zniszczeni woj-

na, fabryki rozszabrowane i ludzie musieli mocno zakasać rękawy, by rozpocząć tę pracę od nowa. Wtedy tego od nowa jeszcze nie rozumiałem. Patrzyłem w swój garnek, który, ach ile razy w ciągu krótkiego życia, był pusty. Tak upływały mi tygodnie i miesiące pracy w warsztacie samochodowym.

Kiedys, na mojej ulicy gdzie mieszkalem, spotkałem dawnego kolegę — towarzysza ulicznych zabaw dziecięcego okresu. Należał do ZWM. Pod pachą niośł trzy książki. Zaciekawili mnie one, Zaharowany robotą dawno nie czytałem.

Przed pożegnaniem wymamrotałem do kolegi — pożycz mi książkę, masz ich aż trzy. Spojrzał na mnie, tak jakoś dziwnie i wyciągnął rękę z jednym tomem.

— Wiesz gdzie mieszkam. Przeczytasz to zwróc. Nie moja... organizacyjna. Wsunąłem pakunek za bluzę niemieckiego drelicha. Wieczorem w domu spojrzałem na jej tytułową stronę — Mikołaj Ostrowski: „Jak hartowała się stal”.

Była już pierwsza godzina w nocy, gdy matka — zapobiegliwa o oszczędność prądu, wykręciła żarówkę z lampy. Rano zabrałem książkę do warsztatu. Stała się powodem wielkiej awantury. Właściciel zobaczywszy co czytalem, zmyślił mnie od ostatnich. Książkę przeczytałem w ciągu dwóch dni. Jak już powiedziałem, przedtem niewiele czytałem. Treść jej utkwiła mi mocno w pamięci. Życie Korczagina trochę znalazłem z dzieciństwa, a dzisiejsze w warsztacie kombinatorów wydało mi się brzydkie, niegodziwe. Było mi wstyd — ale nie powiem: książka nie ponizła mnie. Zapalałem żądzą dokonania jakiegoś czynu.

Pewnego dnia właściciel dał mi polecenie.

— Wieczorem pojedziesz półceharówką pod ten adres. Masz kartkę. Tam będzie czekał na ciebie mężczyzna, pojedziesz z nim, gdzie on ci wskaże. Tylko zachowuj się odpowiednio. Facet forsiasty.

Pojechałem z nieznajomym szosą w stronę Piotrkowa. Była już późna noc, gdy zajęliśmy do małego miasteczka. W świetle latarek kieszonek ładowano do samo-

chodu towar. Spojrzałem — na ziemi pod stertą słomy leżały zwoje skórzanych pasów transmisyjnych.

— He, he... Ileż to fabryk mogłoby komunistów uruchomić, gdyby mieli te paseczki — pokpiwał sobie ten, który wynajął samochód.

Przez chwilę latarka oświeciła jego twarz, była gruba, nalana, wydała mi się wstrętna.

Pasy! Na nie czekają fabryki, robotnicy. Ty, syn robotnicy, przeciwko własnej klasie występujesz?

Wjechaliśmy z ładunkiem na szosę. Zatrzymałem samochód na skraju drogi.

— Nie pojedę z tym dalej — powiedziałem do nieznajomego.

— Zwariowałeś, szczeniaku?!

— Złodziejskiego towaru nie będę woził.

— Ty, sukin...! — warknął.

Błysnęło światło.

— Jedziesz czy nie? W ręku nieznajomego zobaczyłem rewolwer.

— Nie — powiedziałem

twardo. Przez chwilę zdawało mi się, że to nie ja powiedziałem, lecz Korczagin. Jak by on w takiej sytuacji postąpił? Nie namyślałem się długo. Wyrzuciłem w łapę, która trzymała rewolwer a potem w tę mięsistą, tłustą gębę.

Jeszcze tej samej nocy ładunek był w ręku Milicji Obywatelskiej. Wracałem do domu nad ranem, przepełniony jakąś radością, zdawało mi się, że widzę te maszyny, które poruszają się dzięki zwróconym pasom. Byłem wolny, zleciała ze mnie skorupa śmierdzącego błota.

Potem poszukałem w bibliotece książki Ostrowskiego i jego słów: „Najdroższym skarbem człowieka jest życie. Dane mu jest tylko jeden raz i należy przeżyć je tak, by nie odczuwać męczącego żalu po bezcelowo spędzonych latach, by nie spalić się ze wstydu z powodu nędznej i mało-
stkowej przeszłości...”

Pójść nową drogą życia, znaleźć uczciwą pracę — postawiłem sobie jako cel. Dopomogła mi w tym później organizacja ZWM.



Z wyrazem suwerenności spotykamy się w dobie dzisiejszej na każdym niemal kroku. Wiemy, że o pełną realizację zasady suwerenności wszystkich państw walczą obóz pokoju i postępu ze Związkiem Radzieckim na czele. O konieczności poszanowania suwerenności wszystkich krajów, wielkich i małych, mówią nam postępowe pisma, wystąpienia przedstawicieli Ruchu Obróńców Pokoju i wypowiedzi mężów stanu.

Co to jest suwerenność? Jaka jest jej historia? Jakie są jej praktyczne konsekwencje w polityce i w pra-

Dr Jerzy Fabian

O znaczeniu zasady suwerenności

wie? Niniejszy artykuł ma w skrócie dać odpowiedź na te trzy pytania.

Co to jest suwerenność — określenie, którym postuluje się polityka i prawo, zarówno prawo państwowe, jak i międzynarodowe?

Suwerenność wiąże się „z istotą państwa, z jego prawną naturą, a zarazem jego treścią społeczną” (Alfons Klafkowski: „Sprawa traktatu pokoju z Niemcami”. Warszawa 1954, str. 112). Nazwy suwerenność używać możemy w dwu znaczeniach.

Jak mówi znakomity radziecki prawnik i mąż stanu — Andrzej Wyszyński „suwerenność jest stanem niezależności danej władzy państwowej, od wszelkiej innej władzy zarówno w obrębie, jak i poza granicami tego państwa” (A. J. Wyszyński). Tak pojęta suwerenność łączy się ściśle z zasadą równości państw, opartej na ich wzajemnej niezależności, nosi we współczesnym prawie międzynarodowym nazwę suwerennej równości (nazwy tej użyła na przykład Karta Narodów Zjednoczonych w art. 2 punkcie 1 i w art. 78).

Suwerennością nazywa się również samą władzę państwową, jako władzę najwyższą w zakresie ogółu swych praw, niezawisłą od żadnej innej władzy. W tym znaczeniu mówi się na przykład, że na morze terytorialne rozciąga się suwerenność państwa nadbrzeżnego. Tak więc w pierwszym znaczeniu, suwerenność stanowi pewną, jak się to w nauce mówi, „właściwość” czy „przymiot” władzy państwowej, zaś w drugim znaczeniu, samą władzę. Dwa znaczenia, w jakich możemy mówić o suwerenności, są jednak tylko dwoma ujęciami jednego i tego samego zjawiska polityczno-prawnego. Nie należy odrywać jednego znaczenia od drugiego. Skoro istnieje niezależność władzy państwowej (I znaczenie), to tym samym jest to władza w zakresie ogółu swych praw najwyższa (II znaczenie).

Pisał już Jan Ostroróg

Jaka jest historia suwerenności? Jak mówi uczony radziecki Sujew, należy odróżnić powstanie samej suwerenności od powstania pojęcia suwerenności, jako zasady prawa państwowego i międzynarodowego. Suwerenność istnieje od czasów ustroju niewolniczego. Natomiast pojęcie suwerenności, jako zasady prawnej, stworzyła nauka prawa w okresie przechodzenia ustroju feudalnego w jego ostatnią fazę w absolutyzm. Na zachodzie Europy początki zasady suwerenności wiążą się przede wszyst-

kim z nazwiskiem Jana Bodinusa, francuskiego pisarza z wieku XVI (1530-1596) i z jego dziełem: „De re publica libri sex” („Sześć ksiąg o państwie”). Jednakże jak wykazała nauka radziecka (Sujew), już przed Bodinusem pisarz rosyjski Józef Ssanin (1439-1515), sformułował postulat suwerenności. Wiemy również, że u naszego Jana Ostroroga, w jego memoriale „O uporządkowaniu Rzeczypospolitej”, znaleźć możemy sformułowanie zasady niezależności władzy królewskiej. O zasadę suwerenności walczyła potem burżuazja, nadając tej zasadzie nową treść.

Mętna ideologia o „jasnym celu”

W świecie kapitalistycznym niezależność niektórych państw była, praktycznie rzecz biorąc, fikcją. Stosunek wielkich mocarstw kapitalistycznych do państw słabszych pod względem gospodarczym, politycznym, czy militarnym, opiera się w rzeczywistości nie na poszanowaniu suwerenności tych państw, lecz na ich eksploatacji, na ingerowaniu w ich wewnętrzne sprawy państwowe. W okresie imperializmu obserwujemy przejście od formalnego podtrzymywania zasady suwerenności, przy jej faktycznym naruszaniu, do otwartego ataku na samo pojęcie suwerenności. W burżuazyjnej nauce prawa międzynarodowego rozwinął się kierunek, sprzeczny z doktryną tradycyjną, która nie chciała odstępować od zasady suwerenności państw, a którą reprezentowali na przykład angielski prawnik Oppenheim i niemiecki prawnik List.

Po II wojnie światowej, krytyka pojęcia suwerenności przez naukę burżuazyjną, przybrała znaczenie na sile. Idzie ona po linii mętnej ideologii kosmopolityzmu, lansowanej obecnie przez koła amerykańskie, dążące do stworzenia w przyszłości jednego kapitalistycznego państwa światowego, rządzonego przez imperialistów amerykańskich. Widzimy, jak USA usiłują sobie podporządkować kapitalistyczne kraje Europy zachodniej pod względem wojskowym i gospodarczym. Jest to polityka jaskrawo sprzeczna z zasadą suwerenności tych krajów, a świętym jej wyrazem jest narzucający dziś przez USA układ z Bonn i Paryża.

Tej polityce przeciwstawia się polityka Związku Radzieckiego i państw demokracji ludowej, polityka wielkiego Ruchu Obróńców Pokoju, a także polityka partii komunistycznych we wszystkich krajach kapitalizmu. W myśl założeń polityki Związku Radzieckiego, i innych państw obozu postępu, poszanowanie suwerenności wszystkich państw, bez wzglę-

du na ich ustrój, ani na żadne inne czynniki, jest nienaruszalną zasadą.

O poszanowanie małych narodów

Wielką zasługą w dziedzinie obrony zasady suwerenności posiada radziecka nauka prawa międzynarodowego w osobach tak wybitnych jej przedstawicieli, jak Wyszyński, Kryłow, Czizow, Sujew, Korowia, Kożewnikow i in. Stosunki między państwami typu socjalistycznego, opierają się na wzajemnej niezależności, zaufaniu, współpracy i pomocy. W państwach kapitalistycznych, nawet przy ich rzeczywistej suwerenności, nie można by mówić ze słusnością o suwerenności narodu, którą formalnie proklamowała burżuazyjna rewolucja francuska. Mogła tu istnieć suwerenność jedynie panującej klasy kapitalistów. W państwie typu socjalistycznego, a takim jest dzisiaj już i nasza Ojczyzna, możemy mówić o suwerenności narodu. Polska klasa robotnicza w sojuszu z pracującym chłopstwem, stworzyła w oparciu o braterską pomoc Związku Radzieckiego nową władzę, władzę ludową i w interesie całego narodu polskiego broni jej niezawisłości (zob. Konstytucja PRL, wstęp i art. 6).

Praktyczne konsekwencje

Ograniczając się do przedstawienia tylko niektórych elementów tego zagadnienia wypada powiedzieć o czterech, wynikających z zasady suwerenności, konsekwencjach prawnych.

Państwo suwerenne posiada swobodę kształtowania swojego ustroju społeczno-ekonomicznego i systemu władz politycznych; ma prawo posiadania swych sił zbrojnych, podległych wyłącznie jego władzy; nie może być bez zgody swoich władz (rządu, parlamentu) podlegać zagranicznemu sądowi cywilnym tak w postępowaniu spornym jak i egzekucyjnym — chyba na zasadzie zawartej odpowiednim układem wzajemności. Tak na przykład nasz Sąd Najwyższy oddalił w dniu 14. XII. 1948 roku skargę obywatelki polskiej przeciw skarbowi państwa brytyjskiego z tytułu należności za pracę — stwierdzając na podstawie przesłanek międzynarodowych, że powódka może dochodzić swych pretensji jedynie przed sądami brytyjskimi; ostatni element — to zasada wynikająca z przesłanek prawa karnego, że żadna zbiorowość społeczna nie może być postawiona w stan oskarżenia — suwerenne państwo nie może więc odpowiadać kar-

Studio Muzyki Dawnej potrzebuje życzliwej opieki



fol. Maksymilian Myszkowski

Zespół Studia Muzyki Dawnej przy Państwowej Filharmonii w Poznaniu zdobył sobie zasłużone uznanie. Dwukrotny występ w Warszawie, osobiste zyczenia I Sekretarza KC PZPR Bolesława Bieruty za wysoki poziom artystyczny baletu i orkiestry kameralnej, daly wiare we własne siły i ochotę do pracy organizatorom.

Trzeba powiedzieć, że repertuar Studia nie należy do łatwych — opiera się bowiem na muzyce polskiej epoki renesansu oraz tańcach z tego okresu. Rekonstrukcja figur układu choreograficznego musi być poprzedzona m. zolnymi badaniami różnych

opisów, zachowanych gdzieś niedzie rysunków i — rzecz prosta, zabytków muzycznych.

Dotychczasowe istnienie zespołu bardziej opierało się na wielkim zapale ochotniczych (co należy szczególnie podkreślić!) członków baletu, niż na konkretnych dotacjach finansowych. Choć po wystęпах warszawskich obiecano w Wydziale Kultury nie tylko subwencje finansowe, ale i szerszą pomoc — w dalszym ciągu Studio Muzyki Dawnej boryka się z trudnościami. Gdyby nie opieka dyrektorki Filharmonii, która m. in. udzieliła lokalu, zespół nie miałby się dosłownie gdzie

podziąć. Poza tym same stroje z dawnych epok wymagają znacznych nakładów finansowych, które dla ambitnego i wzbogacającego naszą kulturę narodową zespołu — powinny się znaleźć.

Sądźmy, że władze kierujące rozwojem kultury zajmą się serdeczniej poznaniem zespołu, który w programie swojej pracy przewiduje nawiązanie kontaktów z wieloma świetlicami, by w ten sposób zapropagować piękną muzykę polskiego Odrodzenia. Poza tym przygotowuje występy oparte na tańcach tego okresu z Włoch, Francji i Niemiec.

Metoda warta popularyzacji

Istnieje metoda pracy, której wielu ludzi nie zna. Są jednak i tacy, którzy ją znają — niechętnie stosują. Jest to metoda graficznego opracowania planów, schematów organizacyjnych, analiz, kontroli itp. O bezpośredniej wartości metody graficznej przekonać nas może opisany niżej przykład:

Było to w lipcu 1950 roku nad pięknym naszym Wybrzeżem. Miejscowość? Nazwijmy ją Podróbkowo. Pogoda i czasowe towarzystwo — jak z baśni Andersena. Z wyzyna romantycznych przeżyć stracił nas na padół ziemski tylko gong obiadowy i niekiedy wieczorny. W tych to właśnie chwilach „realnego pojmowania świata” obserwowaliśmy PKS-owego Chaussona. Stał naprzeciw stołówki wielkiej i zakurzonej. Godzinami całym drzemał w cieniu rozłożystej lipy. Parę zaledwie razy w ciągu dnia ożywiały się. Wśród „kaszli i strzelania” odwoził mniej lub więcej liczne grupy do pobliskiego miasteczka Kamionkowo.

Mam widać duszę bardziej ekonomisty niż poety, bowiem wielogodzinne drzemki autobusowe najpierw zastanawiały mnie, później niepokoiły, aż wreszcie zaczęły denerwować i gnębić. Czemu ułożono taki wadliwy rozkład jazdy, przewidujący tyle postojów?

Korzystając z deszczowego dnia zacząłem dociekać przyczyn mojego niepokoju.

Co mówił kolejowy i autobusowy rozkład jazdy?

Jak wyglądała lokalna sytuacja? Autobus miał za zadanie połączyć czasowe Podróbkowo z najbliższą stacją kolejową, która znajdowała się w miasteczku Kamionkowo. Napozór wszystko było w porządku. Choć były postoje — rozkład jazdy PKS wiązał się z godzinami przyjazdu pociągów. Chciałem się już pogodzić z tym stanem rzeczy, lecz zwróciłem uwagę, że podobna sytuacja istnieje na bliźniaczej linii do Dziubusiowa (także miejscowość czasowa). Krew we mnie zawrzała. Tu musi być jakieś wyjście — powiedziałem sobie i niezwłocznie przystąpiłem do analizy obu linii autobusowych. Postanowiłem przy badaniu zastosować metodę graficzną. Wykreśliłem harmonogram pracy autobusów na liniach Podróbkowo — Kamionkowo i Dziubusiowo — Kamionkowo (rys. 1).

W raporcie tym autor przedstawia obraz jednego odcinka bitwy o nową, socjalistyczną wieś polską. Na podstawie autentycznych opowiadań i wspomnień Janicki wiernie relacjonuje czytelnikom to, co zaszło w Trzebowniku — małej wsi w Rzeszowskim, walczącej o nowe życie.

J. JANICKI: „SĄSIEDZI”. Wyd. „Książka i Wiedza”, 1951. W raporcie tym autor przedstawia obraz jednego odcinka bitwy o nową, socjalistyczną wieś polską. Na podstawie autentycznych opowiadań i wspomnień Janicki wiernie relacjonuje czytelnikom to, co zaszło w Trzebowniku — małej wsi w Rzeszowskim, walczącej o nowe życie.

A. ALBERTO JACOVIELLO „SPOTKANIE W SUEZIE”. Wyd. „Książka i Wiedza”, 1954. Jest to zbiór korespondencji włoskiego dziennikarza, specjalnego korespondenta gazety włoskiej „Unita”, których tematem jest walka patriotów egipskich przeciwko uciśkowi imperializmu brytyjskiego. W czasie trzymiesięcznego pobytu w Egipcie Jacoviello dotarł do centrum ruchu wyzwolenczego w Suezie i był naocznym świadkiem barbarzyńskich metod gwałtu, do których uciekali się Anglicy w celu zdławienia walki wyzwolenczej patriotów egipskich. Korespondencja dziennikarza włoskiego odświeża również kulisę przewrotu państwowego dokonanego w Egipcie przez imperialistów brytyjskich i amerykańskich pragnących utrzymać na ziemi w kolonialnej zależności.

A. SERAFIMOWICZ „ZELAZNY POTOK”. Wyd. MON, 1954.

Ta znana powszechnie powieść stanowi dzisiaj klasyczną już pozycję literatury radzieckiej. Akcja książki toczy się w okresie walk młodej republiki radzieckiej z kontrrewolucją.

No, i wyszło szydło z worka

Okazało się, że autobus „A” na 18 godzin „służby” ma aż... 13 godzin postoju! Tymczasem autobus „B” na 16 i pół godziny „służby” jeździ zaledwie przez trzy i pół godziny! Jak wynika dalej z wykresu (czego trudno się było doszukać w opisywanym rozkładzie jazdy) — często w okresie postoju jednego wozu — trwała jazda drugiego. Wiele jazd odbywało się równocześnie w przeciwnych kierunkach.

Nasunął się prosty wniosek: obsłużyć Podróbkowo i Dziubusiowo przy pomocy jednej linii oraz — co ważniejsze — jednego autobusu. „Reforma” mogła się odbyć bez szkody dla pasażerów (żadnej obawy ciasnoty!). Podrobkowanie przecież nie ma żadnego — ani kulturalnego, ani gospodarczego związku z Dziubusiowem — i na odwrót. Jeżdżą tylko do Kamionkowa i z powrotem.

Przystąpiłem niezwłocznie do projektu nowego rozkładu jazdy w myśl scalenia obu

linii. Kilkoma pociągnięciami ołówka w lewo i prawo dokonałem „epokowego” odkrycia. Jeden autobus dla obu linii zupełnie wystarczy. Przekonajcie się o tym sami (rys. 2).

Jak kursowały autobusy po reformie?

Autobus wyjeżdżający z Podróbkowa o godzinie 5.45 przejechałszy do Kamionkowa o 6.20 ma dziesięć minut postoju — i nie wraca do Podróbkowa, jak to było dawniej, ale jedzie dalej do Dziubusiowa. Tam stoi pół godziny, a następnie wraca do Kamionkowa, aby po dziesięciu minutach przystanku udać się w dalszą drogę do Podróbkowa itd.

Sprawa prosta i jasna: ilość kursów nie zmalała, a nawet wzrosła! Godziny jazdy uległy tylko niewielkiemu przesunięciu, co wcale nie spowodowało kolizji z rozkładem jazdy pociągów. Postoje uległy likwidacji do minimum. Wykorzystanie wozu i obsługi wzrosło dwukrotnie. Jeden wóz mógł być odesłany do innej miejscowości, aby przewozić czasowiczków.

Dotyczy nie tylko rozkładów jazdy

Rzecz cała na pozór mało istotna na tle jednego przykładu, przybiera jednak charakter poważny w skali całego kraju. Bo przecież takich przypadków nierozważnego gospodarowania taborem autobusowym można by nalicytować wiele. Rosną z tego wielkie koszty własne, o których obniżkę tak walczymy. Mnożą się straty paliwa, rośnie koszt konserwacji pojazdów, a na wielu liniach pasa-

Potężny wybuch... i powstaje jezioro w bezwodnym stepie

Niemal w oczach zmienia się wygląd stepów Akmollińskich w Kazachstanie. Niczym bajkę powstały z dnia na dzień na niezmiernych obszarach bezwodnych ziem stepowych liczne „morskie oka”. Czerpią już z

W pobliżu absolutnego zera

W ciekłym helu czyli temperaturze minus 268° (poniżej zera czyli punktu krzepnięcia wody) metale w ciekawy sposób zmieniały swe własności. Np. stal staje się krucha jak szkło i pęka na kawałki pod uderzeniem młotka. Natomiast ołów, który w normalnej temperaturze jest miękki, plastyczny i niewytrzymały mechanicznie, nabiera własności stali, czyli jej twardości, wytrzymałości i sprężystości.

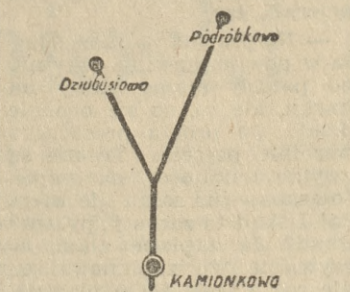
Fizyk Kammerlingh Onnes, który pierwszy skroplił hel, a następnie uzyskał temperaturę, różniącą się zaledwie o 0,82 stopnia od absolutnego zera (minus 273,2° C), odkrył ciekawą właściwość niektórych metali, ochłodzonych w ciekłym helu. Oto metale te nie stawiają wówczas żadnego oporu krążeniu prądu elektrycznego. Fizyk zrobił takie doświadczenie: Włożył do ciekłego helu pierścień z ołowiu i za pomocą magnesu wzbudził w nim prąd elektryczny, którego istnienie można stwierdzić za pomocą stosowanych mierników. Następnie wraz z całym kramem, czyli z ciekłym helu, pierścieniem i przyrządami wsiał na samolot i poleciał z Holandii do Londynu, aby zebrany tam doświadczeniem pokazać, iż mimo upływu wielu godzin czasu, prąd dalej krąży w pierścieniu.

Gdyby ołów miał normalną temperaturę, to prąd w podobny sposób wzbudzony trwałby krócej niż jedną tysięczną część sekundy.

Tego rodzaju zjawisko nazywa się „nadprzewodnictwem” metali. Objawia się ono w ołowiu, cynie, rtęci, talu itd.

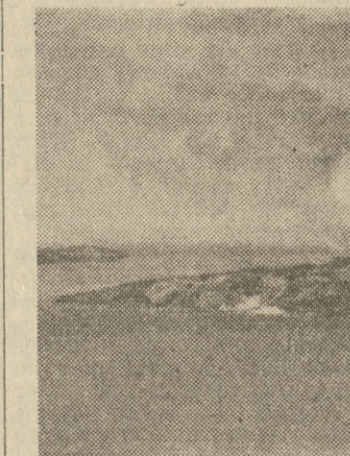
żerowie piorunują na przeładowane wozy.

W naszym przykładzie (zresztą autentycznym — zmieniono tylko nazwy miejscowości) pełną winę ponosiła zła metoda pracy kierownic-



Jak Indianin Paludo stał się właścicielem wulkanu

Mimo, iż jest ich na świecie około 430, wulkany są nadal dla człowieka niezdołana jeszcze tajemnicą. Uczeń już od dawnych lat bada ją i snuje hipotezy co do przyczyn, które powodują wybuchy i trzęsienia ziemi.



Wulkan na greckiej wyspie

Na własne oczy, co też widział stary Hefajstos w swej podziemnej kuźni. Szedł naprzód, mimo iż kto żył, uciekał w popłochu. Aż zginął od trujących wyziewów. Maski gazowej w starożytności — nie znano.

Niespokojna skorupa ziemską. Niejeden zresztą uczony podzielił los Pliniusza Starszego, badacza, opętanego szlachetną żądzą wiedzy. Nasza Maria Curie-Skłodowska też szła bez osłony naprzeciw zabójczym promieniom radu. Aż zginęła od jego tajemniczej mocy. Od siły „wulkanu” promieniotwórczego, przy którym ziarno maku jest olbrzymem.

W tym zaś olbrzymim wulkanie, we wnętrzu Ziemi, ustawicznie coś się gotuje i praży. To tu, to tam, następują wybuchy. Wylewa się ognista lava, wylatują kamienie o masie nieraz kilkudziesięciu ton, sypie się popiół, buchają cuchnące, kolorowe dymy.

Jak wygląda przekrój, czyli budowa wulkanu, można zobaczyć na naszym rysunku. Mamy tu więc stożek nasypowy, który wznosi się na pokładzie skał osadowych (pola zakreskowane). Poniżej znajduje się zbiornik ciekłej magmy, czyli stopionych krzemianów (czarna plama). Przez środek stożka wiedzie jakby szyb do zbiornika z cieczą o temperaturze około 2000 stopni. Magma jest pomieszana z gazami. Pod największym skorupą ziemską magma dostaje się do „szybu” a stąd do krateru (górnego wylotu wulkanu), skąd wylewa się jako „lava” na zewnątrz po stokach stożka, pałac i niszczyć wszystko po drodze. Skutkiem obniżki temperatury wydobywają się z lawy w wielkiej obfitości rozpuszczone w niej gazy, spalające się następnie z tlenem powietrza, przez co powstaje często piorunopodobny płomień.

Czynny wulkan wyrzuca na zewnątrz na ogół następujące produkty: ciekłą lawę, drobne kamienie („lapilli”), popioły (inaczej „tufy”) oraz gazy.

Niebezpiecznie! Ziemia coraz cieplejsza. Jedne wulkany są nieczynne, inne wciąż dymią i wybu-

stają. Wulkan na greckiej wyspie. Wulkan na greckiej wyspie. Wulkan na greckiej wyspie.

stwa linii autobusowej. Nie zastosowano harmonogramu — graficznego opracowania. Tymczasem ten sposób analizy i organizacji pracy jest tak przejrzysty, obrazowy i przemawiający, że nie można przy jego zastosowaniu popełniać poważniejszych błędów.

Posługiwano się wykresami, w postaci harmonogramów, diagramów, krzywych itp. daje doskonałe rezultaty w każdej dziedzinie życia gospodarczego tak w zakresie organizacji pracy, planowania, normowania, jak i w kontroli, analizie wyników produkcji i tak dalej.

Gdy w roku 79 nowej ery wybuchł w Italii Wezuwiusz, niszcząc trzy miasta (Herculanium, Pompeję i Stabiae) oraz zabijając 200 000 ludzi, znakomity przyrodnik starożytności, pan Pliniusz Starszy wyszedł naprzeciw wulkanu spacerkiem, aby zobaczyć z bliska i

chają, inne wreszcie rozpadają się wskutek silnych wybuchów. Zdarzają się też wypadki powstawania wulkanów nowych.

We wsi Paricutin w pobliżu miasta Meksyku żył ubogi wieśniak, Indianin, nazwiskiem Paludo, utrzymujący siebie i rodzinę z niewielkiego kawałka pola.

Było to jedenaście lat temu. Paludo obserwował, że jego grunt jest cieplejszy, niż u sąsiadów. Raz ze szczeliny w ziemi zaczęła snuć się smuga dymu. Pewnie palą się stare liście, pomyślał wieśniak i zasypał szczelinę ziemią. Ale dymy snuły się ciągle nad jego polem.

Aż tu nagle dnia 20 lutego 1943 rozległy się podziemne grzmoty i cała wieś zatrzęsała się od huku. Na polu Paluda otworzyła się szczelina i wybuchł do góry naprzód ogromny słup dymu i pary, a następnie rozpoczęła wylewać się na zewnątrz lava.

Mieszkańcy wioski zbiegli ze swoich chat na bezpieczną odległość patrząc z przerażeniem na straszliwy widok, który w nocy robił przerażające wrażenie. Rozżarzone kamienie, płomień ognia, słupy dymu bity wysoko w niebo, oświetlające jasno całą okolicę, podczas gdy ziemia trzęsała się i bez przerwy huczały podziemne grzmoty.

Stożek rósł w oczach. W niedługim czasie zjawiała się na miejscu ekspedycja naukowa. Na oczach jej i setek widzów nowonarodzony wulkan rozpoczął sypać sobie stożek, który po tygodniu urosł na wysokość 170 metrów, a niedługo po tym był już okazałą górą wznoszącą się ponad okolicą na 330 metrów.

Wyrzucona lava spłynęła rzeką szeroką na 900 metrów niszcząc wszystko po drodze na odległość paru kilometrów. Jej temperatura jeszcze po 3 miesiącach wynosiła 880 stopni.

Biedny Paludo i inni mieszkańcy wioski stali się w taki

sposób właścicielami... wulkanu. Należy podkreślić, że zmiana jaka zaszła w ich życiu przez utratę marnej egzystencji przymierających głodem wieśniaków na mikroskopijnych polkach, nie wysłała im na złe. Oto wulkan stał się celem wędrowek setek i tysięcy turystów. Wieśniacy, którzy uratowali swe muly i osły, wożą dziś zwiedzających — z reguły nocami — pod sam wulkan, aby pokazywać im bajkowy widok, gdyż wulkan bez przerwy wyrzuca fajerwerki płomiennych gazów i kolorowych dymów.

Narodził się wulkan Paricutin i jego dotychczasowa działalność nie przyniosła nikomu szkód i strat. Wulkan ten jest, jak dotychczas, unikatem pod tym względem.

5 BIAŁOBORSKI



Wspaniały skok wielkiej sarny. Już niedługo zapaleni myśliwi rozpoczynają sezon polowań.

Jak Indianin Paludo stał się właścicielem wulkanu

Było to jedenaście lat temu. Paludo obserwował, że jego grunt jest cieplejszy, niż u sąsiadów. Raz ze szczeliny w ziemi zaczęła snuć się smuga dymu. Pewnie palą się stare liście, pomyślał wieśniak i zasypał szczelinę ziemią. Ale dymy snuły się ciągle nad jego polem.

Aż tu nagle dnia 20 lutego 1943 rozległy się podziemne grzmoty i cała wieś zatrzęsała się od huku. Na polu Paluda otworzyła się szczelina i wybuchł do góry naprzód ogromny słup dymu i pary, a następnie rozpoczęła wylewać się na zewnątrz lava.

Mieszkańcy wioski zbiegli ze swoich chat na bezpieczną odległość patrząc z przerażeniem na straszliwy widok, który w nocy robił przerażające wrażenie. Rozżarzone kamienie, płomień ognia, słupy dymu bity wysoko w niebo, oświetlające jasno całą okolicę, podczas gdy ziemia trzęsała się i bez przerwy huczały podziemne grzmoty.

Stożek rósł w oczach. W niedługim czasie zjawiała się na miejscu ekspedycja naukowa. Na oczach jej i setek widzów nowonarodzony wulkan rozpoczął sypać sobie stożek, który po tygodniu urosł na wysokość 170 metrów, a niedługo po tym był już okazałą górą wznoszącą się ponad okolicą na 330 metrów.

Wyrzucona lava spłynęła rzeką szeroką na 900 metrów niszcząc wszystko po drodze na odległość paru kilometrów. Jej temperatura jeszcze po 3 miesiącach wynosiła 880 stopni.

Biedny Paludo i inni mieszkańcy wioski stali się w taki

sposób właścicielami... wulkanu. Należy podkreślić, że zmiana jaka zaszła w ich życiu przez utratę marnej egzystencji przymierających głodem wieśniaków na mikroskopijnych polkach, nie wysłała im na złe. Oto wulkan stał się celem wędrowek setek i tysięcy turystów. Wieśniacy, którzy uratowali swe muly i osły, wożą dziś zwiedzających — z reguły nocami — pod sam wulkan, aby pokazywać im bajkowy widok, gdyż wulkan bez przerwy wyrzuca fajerwerki płomiennych gazów i kolorowych dymów.

Narodził się wulkan Paricutin i jego dotychczasowa działalność nie przyniosła nikomu szkód i strat. Wulkan ten jest, jak dotychczas, unikatem pod tym względem.

Schematyczny przekrój wulkanu. Schematyczny przekrój wulkanu. Schematyczny przekrój wulkanu.

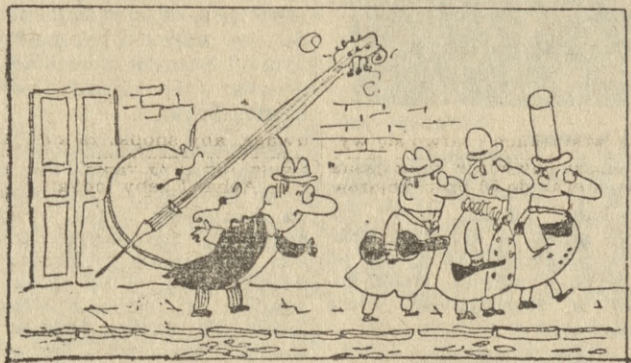
Sen, czy iawa?

Naczelnny dyrektor Centrali Sprzętu przy stole wśród pism, akt, remanentów ziewnął szeroko, językiem mlasnął i zasnął.

...śniąc przeżył dyrektor zebranie. Powstał od biurka i poszedł na nie dostojnym chodem kacyka. Przedmiot zebrania: samokrytyka. Wstąpił, jak trybun, na mównicę i jał przemawiać w samokrytyce — „Cóż by z produkcją było w fabryce, gdyby, koledzy, nie JA!?” Strzeżę, doceniać, dziękować i widzę — Rzec o MNIE można: dba! Jedno tylko jak w gardle kostka, dręczy MNIE zagadnienie, że u nas, koledzy, o człowieka troska właściwie nie istnieje. MNIE urlop przerwano, znad morza wróciłem z bałtyckich wydm i pian. I tylko dlatego — o, Boże się pożał! — że jakiś zawałił się plan...

..śniąc problemy rozgryzał ważkie. Wyciągnął pióro, pocisnął czaszkę, całą energią, wysiłkiem wszystkim o sprawie jał myśleć obniżki kosztów, co rytmicznie i żywo rosły na wykresach linią krzywą. Wążył w myślach ten dylemat, ziewnął szczerze: — „Chyba zasnął! co za, psia krewa, nudny temat te... no, jak tam? — koszty własne! Męczę się, wysiłam, pocę a plan — wciąż sześćdziesiąt procent... Gdy z inspekcją zjadą szyszkę, powiem: oto znak obniżki!” Potem wziął dyrektor z teczeki cztery chrupiące bułeczki. Jadł, popijał, sapał, prychnął aż mu myśl rozbiła się cichą: — „O, gdyby można przed krytyki ostrzem uciec cudzym, a nie własnym kosztem...”

Naczelnny dyrektor Centrali Sprzętu na stole wśród pism, akt, remanentów głowę położył, ziewnął z wszystkich sił — śnił. I śni dotąd, letargicznie prawie, miast w łóżku — przy biurku, na jawie...



KONTRABASISTA: — I oni mają odwagę twierdzić, że gramy muzykę lekką. „Vie Nouvelle”

SZUKAJCIE AGRONOMA

Wojciech Drygas

Rozpierał się dostojnie na krzesłach, opatrzonych znakami rozpoznawczymi Wojewódzkiej Ekspozytury POM. Konferencja miała charakter poufny. Obecni byli: kierownik personalny — Anioł, szef pracy i placu — Byczyński oraz Capówna — referentka planowania. Anioł wściekał się, Byczyński martwo patrzył przed siebie, Capówna ocierała łzy.

— Nieprawda — zaszlochala w pewnej chwili — my nie od parady mamy głowy na karku, ale to, co się obecnie dzieje, po prostu przekracza wszelkie pojęcie. To nie są zwykłe trudności na etapie, to jest — już sama nie wiem co! I skąd te zarzuty, pytam? Skąd? Ja zaplanowałam, oczywiście że zaplanowałam, ale co z tego, że ja planuję, kiedy mi do tego planu żaden zaplanowany nie wskoczył. Więc co ja mam robić? Samą tam wskoczyć, czy jak?

— No, no — zaprotestował energicznie kierownik Anioł — tylko bez tego rozdzierania konfekcji, koleżanko. Tym sposobem zwabi pani co najwyżej paru gapiów, a może nawet jednego męża. Ale nie wykwalifikowane kadry agrotechniczne. Tutaj potrzeba, uważa pani, innego lepu. Bardziej konkretnego!

— Bardziej konkretnego?! — oburzyła się Capówna, a milczący dotąd szef pracy i placu skromnie wtrącił:

— Jest dla mnie oczywiste, że nasze Państwowe Ośrodki Maszynowe w Zieloninie i Łaputowicach nie mogą pozostać wadliwie bez pełnej obsady agronomów. Co to — to nie! Ale — tu uczynił wielomówiącą pauzę, podczas której martwo patrzył przed siebie — ale my przecież agronomów nie nosimy w kieszeni. Chwileczkę, kierowniku — unioś dłoń — chwileczkę, wiem, co chcecie powiedzieć. Chcecie powiedzieć, że wyjąłem wam to z ust, nieprawdaż? Otóż czekajcie — zaraz wyjmę wam resztę. Chodzi o to, że podczas gdy my przeżywamy niebywałe trudności na odcinku wykwalifikowanych kadr rolniczych, w administracji różnych biur, instytucji i urzędów, nie mających nic wspólnego z rolnictwem, wielu jeszcze agronomów i zootechników obija się przy biurkach, zamiast iść w teren do produkcji rolnej. Pytacie, co zrobić z tym fantem?

— Konkretnie zaplanować

i ściągnąć do nas — ziewnęła Capówna.

Kierownik Anioł posiniał na twarzy.

— Ech — pacnął dłonią w stół, gdzie siedziała mucha — dobrze wam mówić: zaplanować i ściągnąć. Ale kogo zaplanować? Kogo ściągnąć? Personalnie kogo?

Po takim oświadczeniu w pokoju zaległo milczenie. Anioł wściekał się, Byczyński martwo patrzył przed siebie, Capówna ocierała łzy.

— Mam! — podskoczyła na gle. — Pan kierownik obieca premię. Premię temu, kto oderwie od papierkowej roboty i doprowadzi do nas agronoma lub zootechnika. Nic tak ludzi nie aktywizuje, jak premia. Wiem to z własnego doświadczenia...

— Można spróbować — ożywił się kierownik Anioł. — Ogłoszę to w gazecie ściennej. Wy jednak nie zasypiajcie gruszek w popiele. Mobilizujcie ludzi! Niech szukają! Wszędzie, wszędzie! Powia-



DULES: Coś okropnego z tą konferencją genewską — ciągle rozwiera ona nowe szczeliny w bloku państw „wolnego świata”. Wpadł w nie Li Syn-man, Bao. Dai, a teraz i przyszła kolej na Laniela.

domcie również prasę! Prasa pomoże! A teraz do czynu!

Po wydaniu tylu ważkich decyzji, kierownik personalny odczuł pewnego rodzaju ulgę. Zabrał się też zaraz do redagowania odpowiedniego komunikatu, w którym nie szczędził obietnic. Wylewając na papier mnóstwo atramentu wyobrażał sobie, jak stu — co tam stu — dwustu, trzy stu ludzi zmobilizowanych przez Byczyńskiego i Capównę, rewiduje wszystkie instytucje i urzędy nie mające nic wspólnego z rolnictwem, wyłaziła z biur podjeżdżane osoby o zootechnicznym wyrazie twarzy, czatuje za każdym rogiem na przechodnia w zielonych bryczesach, by nagle zastąpić mu drogę ze słowami: „Agronom, co? W imieniu kierownika Anioła proszę za mną!”

Potem zastanawiał się jeszcze długo nad wysokością premii za ujęcie agronoma oraz rozważał wszystkie możliwości pokrycia wydatkowanej na ten cel kwoty z funduszy kulturalno-oświatowych. Wreszcie odłożył pióro z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i zadzwonił.

W drzwiach pojawiła się lśniąca lyszyna wóznego Biedronki.

— Pan kierownik mnie wzywa?

— Weźmiecie pluskiewkę i umocujecie to piśmko w gazetce ściennej. Tylko żeby mi było na widocznym miejscu. Tu chodzi o premię!

Nazajutrz w miejscowej prasie pojawiły się pierwsze artykuły, omawiające wnikliwie problem wykwalifikowanych kadr rolniczych, pracujących poza rolnictwem. Nie szczędzono ostrych słów krytyki pod adresem instytucji i urzędów, które nie chciały zrozumieć, że miejsce agronoma czy zootechnika powinno być na wsi. Artykuły narobiły wiele huk. Kierownik Anioł nazwał ten huk „salwą, która odmierzy nowy etap na odcinku naszej rzeczywistości!”

I rzeczywiście! Już w kilka dni później trzech wykwalifikowanych agronomów siedziało na walcach w poczekalni kolejowej i wypatrywało pociąg zdrajcę w kierunku Zielonina i Łaputowic, gdzie oczekiwano ich w POM. Byli to: b. kierownik personalny — Anioł, b. szef pracy i placu — Byczyński oraz niejaka Capówna — b. referentka planowania. Anioł wściekał się, Byczyński martwo patrzył

przed siebie, Capówna ocierała łzy.

— I kto by się spodziewał — westchnęła głośno — że premię dostanie ten łysy wózny, Biedronka? A to ja! (Szpilki)

Humor zagraniczny o zwierzętach



— Czy w dalszym ciągu jesteś zdania, że powinniśmy się rozjechać? „Vie Nouvelle”



— Jeżeli pierwszego nie trafisz, za nim biegnie drugi...



— Od czasu, gdy kupił saksofon i zaczął używać zwariowanego amerykańskiego jazzu — stała się ze swoim węzłem kłopoty.



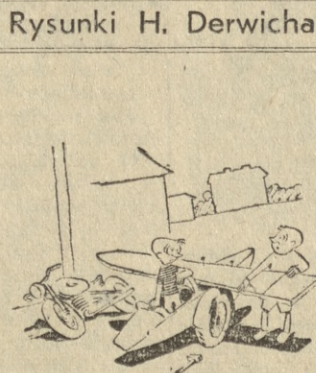
— Na pomoc! Małpa mnie złapała!

POD ZNAKIEM Jaskółek

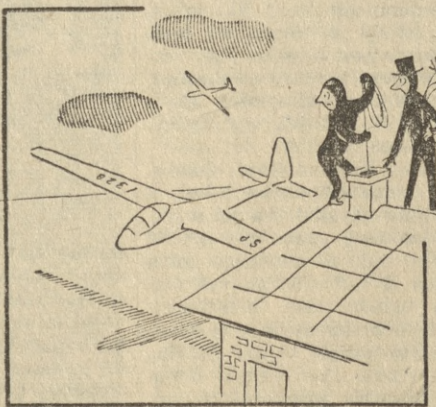
Rysunki H. Derwicha



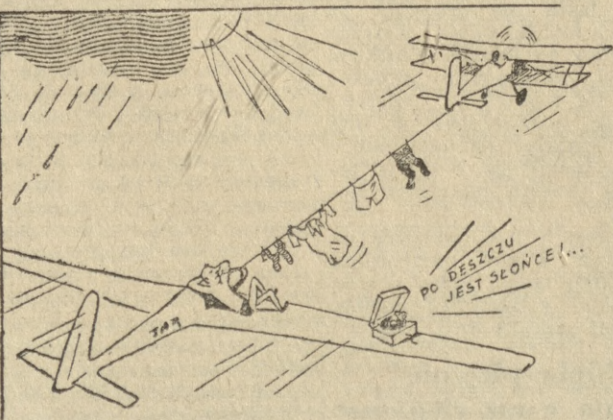
„W górę, w górę milły bracie!”



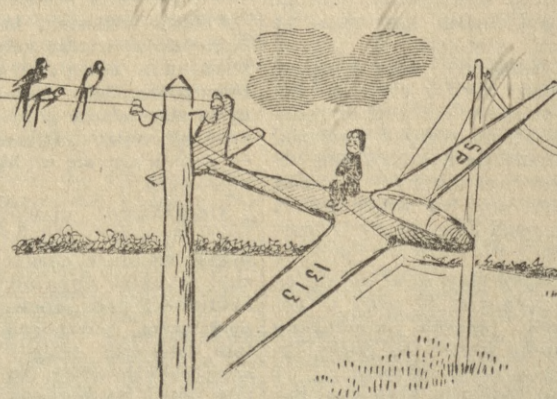
— Tak wcale nie wygląda „jaskółka”!



— Będzie deszcz... Nisko dziś latają...



— Zobaczcie!... Konkurencja.



— A nie mówiłem, że choćby nie wiem jakie miał korzenie, jednak go wyrwę?! „Humanité D'manche”

Tadeusz Polanowski

Apolityczny

Brzydzi się „propagandą”, nie znosi „polityki”, Ale słucha — o dziwo! — „Głosu Ameryki”.

Jerzy Medyński

Mówi Taiwan

Radio Czang Kai-szeka podało z Tajwanu wiadomość, że w Wietnamskiej Armii Ludowej biją się dwaj chińscy generałowie: Kobzdej i Zukrowski.

Mysimy odkryli, zdemaskowali. Czemu sukcesem Wietnam się chwali. Znamy powody, znamy przyczyny: Jasne, że palce maczają Chiny. Co dzień nadchodzą posiłki świeże, Generałowie, oraz żołnierze. Pierwszych z nazwiska nawet wyliczę: A więc bojowe sporządza szkice W wietnamskim sztabie i vodi rej. Szef tego sztabu — Chińczyk Kobzdej. On z generałem Woj-Cie-Chem Zu, Odręcznym bojem wziął Dien Bien-fu.